

Łukasz Kaczyński

Nie rozumiem tych recenzenckich utyskiwań na „Hamleta we wsi Głucha Dolna”. Tym bardziej epitetów, zwłaszcza gdy ktoś sam posługuje się etykietami i zamiast spróbować opisać to, co widzi na scenie, opisuje raczej, co ma w głowie. Kusi wtedy, by pytać, co powoduje pisać? Autocenzura? Środowiskowa gra o prestiż? Wstyd przed sobą, że dobrze się bawiłem? Pieczętka w legitymacji Partii Jedynego Słusznego Gustu? Stawianie się w roli obrońcy gustu publiczności vel (jak tutaj) obrońcy mieszkańców miasteczek jakoby ze sceny wyszydzanych to chyba nie rola recenzenta, cokolwiek już i tak uprzywilejowanego.

Tymczasem „Hamlet...” Roberta Talarczyka to spektakl jako całość całkiem udany, miejscami bardzo. Okej, jego gatunkowość nie całkiem jest określona, więc problemowa - najbliższej mu do satyry, komedii, tylko miejscami nie jest nam tu do śmiechu. Ale kabaret? Wolne żarty.

Ustalmy czym na pewno nie jest. A nie jest jakąś „drugą nogą” czy alternatywą dla „głównego” repertuaru, sposobem jeno na podratowanie budżetu. A więc czymś wstydliwym, czemu należy się taryfa ulgowa. Widocznie dyrekcja Zdzisława Jaskuły tak mocno się zapisała w pamięci (słusznie), że sięgniecie teraz po tekst Ivo Brešana kojarzy się od razu z realizacjami dramatów Miro Gavrana czy Dario Fo na małej scenie. Nic bardziej mylnego.

Ten spektakl JEST programowo częścią roli, jaką dyrektor Dorota Ignatjew przypisuje Nowemu, i teatrowi dziś w ogóle. A jest nią: mówić to, co należy. Mówić prawdę. W tym sensie widza w Nowym nie odgradzają bezpiecznie od świata ściany teatru. Bo ten teatr od świata nie ucieka. I - paradoksalnie - nie walczy z nim. Nie dialoguje z hejterami, nieważne za kogo przebranymi. Po prostu, jak wyżej, mówi to, co powiedzieć trzeba. Kolejny już raz. Co mówi w „Hamlecie...”?

Maksymalnie skracając: trawestacja dramatu Szekspira z języka poezji na język trywialnych zdań i potocyzmów - miejscami przezabawnie napisana i grana - posłużyła reżyserowi do pokazania tego jako procesu o społecznym znaczeniu. Język wartości zamieniany jest na język bez-wartości. I dzieje się to na „polityczne zamówienie”: bo do wsi ma przyjechać premier z Jedynej Słusznej Partii, dla którego spektakl powstaje. Przecież właśnie dlatego, że język Szekspira został okrojony, uproszczony, wykoślawiony, poseł „tej ziemi”, a wcześniej lokalny działacz, grany przez Bartosza Turzyńskiego, może w przerwach do spektaklu usprawiedliwiać się przed lokalsami: tak, ukradłem pieniądze z projektu spółdzielni, ale kto z nas jest bez grzechu, ja za to dla was wszystko robię. Bo gdy znika język wartości, znikają też poczucie wstydu i smak („w którym są włókna duszy i chrząstki sumienia”). Wtedy wystarczą „łańcuchy tautologii parę pojęć jak cepy” ubrane w dogodną np. godnościową, wolnościową czy narodową retorykę. Talarczyk mówi o tym samym, o czym mówił podniośle Herbert, ale że mówi językiem teatru popularnego, zarzuca mu się grzechy, których na scenie nie popełnił. A mówi przez kontrpunkt obu języków i paralelność zdarzeń w próbowanym dramacie i w lokalnej społeczności. Na przykład przez fakt, że to szantażowany kuratorem nauczyciel (gra go Dariusz Kowalski) karnie upraszcza język Szekspira, ale i on w finale pierwszej części pokazuje na krótkim fragmencie, czym jest oryginał, jaką (wyzwalającą) ma siłę, czym są piękno frazy, brzmienie słowa, rytm, a czym prawda - te wartości wprowadza na scenę. Mówi się tu jeszcze inne rzeczy. A aktorom pozwala stworzyć wiele świetnych ról - ale to oddzielny temat.

Na zdjęciu: autobus na pozałódzkich numerach, który przywiózł cześć publiczności. Maturzyści przyszli sami.